

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 37

Katowice, 18-go września

1932

Na niedzielę ośmnastą po Świątkach.

EWANGELJA

zapisana u św. Mateusza w rozdz. 9, w. 1—8.

W on czas: Wstąpił Jezus do łodzi, przeprawił się na drugi brzeg, i przybył do miasta swego. A oto przyniesiono Mu porażonego, leżącego na łożu. Jezus zaś, widząc ich wiarę, rzekł do porażonego: Ufaj synu! Odpuszczają ci się grzechy twoje. A oto kilku uczonych myślało sobie: On bluźni! Ale Jezus, przejrawszy myśli ich, rzekł: Czemuż źle myślę żywicie w sercach waszych? Cóż jest łatwiej? — powiedzieć: „Odpuszczają ci się grzechy twoje“ — czy też powiedzieć: „Wstań i chodź swobodnie?“ Żebyście jednak wiedzieli, iż Syn człowieczy ma na ziemi moc odpuszczania grzechów, — przeto mówi do porażonego: „Wstań, bierz łożę twe, a idź do domu swego“. A on zerwał się i odszedł do domu swego. Rzesze zaś, widząc to, przelekły się i wielbiły Boga, który dał taką moc ludziom.

NAUKA.

Zapoznana przyczyna nieszczęść ludzkich.

Z niegościnnego Geraza Pan Jezus, jadąc przez jezioro Genenezaret, wraca do „Swojego“ miasta Kafarnaum. Tu przebywał najchętniej, tu ludzie garnęli się do Niego i słuchali Go skwapliwie. Tu zawsze tłumy zapępiały dom, w którym On przebywał.

Na łożu przynoszą chorego, aby Pan Jezus uzdrowił go. Że zaś docisnąć się nie mogą przez tłum, więc biorą się na sposób i z dachu spuszcza chorego tuż przed nogi Jezusa. Powtarza się rzewny obraz, niejednokrotnie zachodzący w ewangeljach: Chrystus wobec nędzy ludzkiej!

Jednym jednak szczegółem różni się nasze wydarzenie ewangeliczne od innych podobnych uzdrowień cudownych, dokonanych przez Pana Jezusa. W naszym wypadku Chrystus Pan uzdrowia

przedewszystkiem chorą duszę ludzką! Wprawdzie mówi Pan Jezus do paralityka: „Wstań, weźmij łożę twoje, a idź do domu swego“. Ale słowa te wypowiada Pan Jezus raczej na potwierdzenie prawdziwości innych słów swoich, wypowiedzianych tuż poprzednio do paralityka: „Ufaj, synu, odpuszczają ci się grzechy twoje“.

Podwójnego cudu więc doznaje chory: Chrystus uzdrowia i ciało i duszę jego. W sposób znamieny P. Jezus, zanim uzdrowia niemoc cielesną biedaka, wpięrw leczy duszę jego od ran grzechowych. Stwierdza Boski Zbawiciel przez to, że życie grzeszne i występne jest właśnie przyczyną owej ciężkiej niemocy fizycznej chorego.

I w życiu ludzkim przy uważnem dociekaniu da się stwierdzić niejednokrotnie, że nieszczęścia różnego rodzaju, trapiące człowieka, jak: choroby, niepowodzenia życiowe, ciężkie utrapienia i upośledzenia w dziwnie bliskim pozostawają związku z grzechem i z życiem występem człowieka. Dla niejednego człowieka nieszczęścia nań spadające są wprost widoczną i namacalną karą Bożą za grzechy. Więzienia, szpitale, lecznice pijaków, domy obłąkanych i schroniska podrzutków, oto miejsca, które mówią za tomy całe i w sposób bolesny stwierdzają nieraz okropne skutki grzechu w życiu ludzkim. Więc i my, gdy dotyka nas nieszczęście, nie bądźmy zaślepionymi, ale przyznajmy z pokorą, że to karząca ręka Boska nas dotyka. Długo Pan Bóg milczał, kiedy grzeszyliśmy, lecz teraz przemawia do nas dotkliwie!

Ilekróć zatem przygniata nas krzyż życiowy, ilekróć prosimy Boga o odwrócenie od nas klęsk i nieszczęść, przedewszystkiem pamiętajmy o tem, że trzeba usunąć główną przyczynę wszystkich nieszczęść naszych, to jest nasze grzechy i występki. Jeżeli chcemy uprosić dla siebie zmiłowanie Boże, musimy przedewszystkiem przebłagać gniew Boży. Sercem skruszonym i upokorzonym zaś nie pogardzi Pan Bóg i nie odmówi nam miłosierdzia Swego w różnorodnych utrapieniach naszych.

Reforma od siebie.

Zebrały się kumoszki warszawskie za Żelazną Bramą i rajcują, a rajcują tam od samego rana.

Czego one już nie naplotły!?

Jan pan Indykuś z Żabiej po pijanemu wrócił nad ranem do domu i złażał żonę. Jak na placu Bankowym zderzyły się dwa samochody. Z jednego wypadła jakaś strojna pani i rozdarła śliczny, nowy płaszcz. Jak w jakiejś tam kamienicy na Marszał-

kowskiej, aż trzy małżeństwa jednego dnia o rozwód podały.

Jak z karuzeli pod mostem Poniatowskiego spadł jakiś dzieciak i rozbił sobie głowę. I tak dalej i dalej, jedna wiadomość ciekawsza od drugiej, byle pleść a pleść.

Wtem jedna wpada na nigdy niewyczerpany temat narzekań!

— Ach pani Wojciechowa, jakież to my ciężkie czasy teraz mamy, niczego się dokupić ni dostać!

— Ha! nie tak dawniej bywało, wszystkiego dostało się za parę groszy!... Można się było i ubrać i najeść! Dziś drożyna i drożyna.

— Mówili, jak złoty nastanie, — dodała któraś, — to już się wszystko odmieni i drożec nie będzie w kraju, a tymczasem złoty jest, a bieda jak była tak i jest!

— Mieli rację tak mówić, — wdał się teraz w rozmowę stateczny pan Mateusz, szewc z Woli, który dotychczas stał na uboczu, rzymając w rękach kilka par porządnie wykończonego obuwia. — Mieli rację, teraz zupełnie co innego! Dziś wszyscy spekulanci w łeb wzięli, ci co to jednego dnia skupywali towar, a na drugi, podwójną cenę brali, krzycząc, że marka polska nic nie warta! Dziś urwały się ich zarobki!

— Dobrze im tak, dobrze! — powtórzyły baby. — Niedoczekanie ich, żeby się ludzką krzywdą pasci! No dobrze, panie Mateuszu, jeśliście tacy rozumni, to wytłumaczcie, dlaczego dziś tak ciężko?

— Dużoby o tem gadać, — odparł poważnie pan Mateusz, skrobiąc się w głowę z zakłopotaniem, — na mój prosty rozum, to winna wojna, lecz jeszcze więcej, winien sobie sam naród.

— A to niby dalczego

— A no, niby dlatego, że przez te różne swobody, naród jak to mówią, rozpaskudził się.

Baby otoczyły zwartym pierścieniem pana Mateusza i tak wsłuchały się w jego słowa, że aż gęby porozdziawiały. A on mówił dalej.

— Sami już nie wiedzą ludziska, czego chcą, wszystkiego im się zachciewa. Dawniej mówili: „Wedle stawu grobla“ i każdy starał się do tego zastosować co miał. Dzisiaj jest przeciwnie, ludzie chcą jedni drugim dorównać, i przez to chcą zastosować do swoich zachcianek swoje dochody i stąd ta bieda i narzekania! Dawniej pani doktorowa, czy adwokatowa na ten przykład, miały lepiej, pani majstrowa miała skromniej, a pani czeladnikowa jeszcze skromniej, a pomimo tego, żadna z nich biedy nie cierpiała!... Dziś pani majstrowa chce dorównać pani doktorowej, czy adwokatowej, a pani czeladnikowa patrzy tylko, co majstrowa na siebie naciągnęła i dalejże ją małpować, choćby z pod ziemi na to pieniądze wydobyć! Czy nie tak, moje panie!

— Juści, juści, ma pan Mateusz rację, jeno co to ma do drożyny?...

— Jakto, co to ma do drożyny, a no to, że każdy chciałby jak najwięcej pieniędzy ściągnąć z drugiego, chce mało robić a dużo zarabiać, stąd towar coraz droższy i mamy drożynę!

— Może pan Mateusz ma i rację, — mówiły jedne. — Patrzcie go, jaki mądrała, — dorzuciły urągliwie drugie. — Tęskno mu za dawnymi porządkami, chciałby naród w ciemnocie a niewoli trzymać.

— Cicho, Józka, nie urągaj, — powiedziała jakaś rozsądniejsza, — swoboda nie polega na tem, żeby wszystkie babska jednakowe lakierki miały i jednakowo kuso i wygodnie chodziły!...

— Racja, racja! — podniosły się głosy.

— Sporo jeszcze wody upłynie, — ciągnął da-

lej pan Mateusz, — nim naród rozumu nabierze, nim dojdzie do pojęcia tego, co jest prawdziwą wolnością, co prawdziwym światłem!

— Prawi jak profesor! — wyrwał się ktoś z tłumu, — a gdyby tak z niego jakiego ministra zrobić, zarazby tu wszystko zreformował, a porządek zaprowadził!

— Ha! ha! — wziął się pod boki pan Mateusz, zanosząc się od śmiechu, — patrzcie go jaki zuch, zaraz ministra z człeka gotów zrobić, a w tem to właśnie sęk, że u nas więcej amatorów na ministrów i na reformatorów, jak na parobków i na czeladników! — Ale staremu Mateuszowi, jeszcze chwala Bogu, Pan Bóg rozumu nie odjął, a wie on dobrze, że jego miejsce za warsztatem szewskim na Woli, a nie w pałacu ministrów, na Krakowskim Przedmieściu!... A co to myślicie państwo, że to tylko dla ministra rozum potrzebny? A każdy inny człek i rzemieślnik już ma się zupełnie bez rozumu obywać?...

— No nie, ino!...

— Ino, — ciągnął dalej pan Mateusz, — pan minister powinien go mieć więcej nie tylko dla siebie, ale i dla drugich, pan minister powinien się porządnie nad książkami napocić, a być doświadczonej, zanim ministrem zostanie, aby tem jaśniej mógł świecić. Ale i ty człeku prosty, jeśli rozumu nie nabierzesz, biada ci w życiu! Bo każdego cię podejdzie, każdego cię oszuka, każdego cię wyzyska!

— Ma rację, ma rację, mądrze mówi! — zaczęły się podnosić głosy stąd i zowąd.

A on jednak prawdziwy kaznodzieja, nie zważając na nic, zapalał się i ciągnął dalej.

— Mówią ludzie, reforma czyli naprawa. Reforma dobra i konieczna we wszystkim od czasu do czasu i w prawodawstwie i w sądownictwie i w obyczajach, lecz po mojemu, to najważniejszą jest reforma siebie samego. Bo na ten wzór, jeśli chcesz człeku, drugich przerabiać a reformować, to najpierw zastanów się nad tem, czy sam jesteś w porządku, czy u ciebie nic nie ma do reformowania? Jeśli chcesz wymagać od drugich, wymagaj najpierw od siebie! Jeśli chcesz bliźnich dobrodziejstwami darzyć, to opatrz ich ze swego dobra, ze swojej pracy, a nie z cudzej kieszeni: bo to po mojemu będzie kradzież, naruszenie cudzej własności!

— Sprawiedliwie, sprawiedliwie mówi!

— To pański sługus, burżujom ręce lizałby! — krzyknął z tłumu jakiś przekupień, który stał nad koszem przeróżnych łakoci, wychwalając co chwila swój towar głośnym krzykiem.

— Dobrze, braciszku, — rzekł dobrodusznie pan Mateusz, — mówisz o mnie, że jestem pański sługus! Więc żeby nim nie być, zwołam tu w tej chwili wszystkich żebraków i wszystkie dzieci z hał! i rozdram im twój towar, bo oni takich łakoci nie mają!...

— Wara do mego kosza! — krzyknął zaperzony przekupień. — Ja sam tylko mogę się rozporządzać moją własnością, bo ja na nią pracowałem!

— Więc bronisz, braciszku, swojej własności?... I słusznie jej bronisz, a chciałbyś, żeby kto inny zgo-

dził się na to, żeby mu jego własność, i to nieraz z dziada pradziada wydarli i rozdali drugim!

— A to co innego, to bogacze, na to dobro sami nie pracowali!

— Jedna miara dla wszystkich, braciszku! Ty jeśli pracujesz, to co zarobisz i zaoszczędzisz, chciałbyś kiedyś swym dzieciom oddać, czy nie?

— Jużci że tak, ale to co innego!

— Nie co innego, lecz to samo, czy dużo, czy mało, każdy ma prawo do swojej własności, i po mojemu, zawsze to powtórzę, że rozdawanie cudzego dobra u mnie się złodziejstwem nazywa!

— A ktoby się tam z tobą dogadał, panie Mateuszu! — rzekł przekupień, przenosząc się wraz ze swym towarem na drugi koniec hali, może w obawie, żeby pan Mateusz nie wykonał swej pogroźki.

Tymczasem wokoło naszego mówcy gromadziło się coraz więcej ciekawych, to zaczęło nawet przeszkadzać w handlu i sam pan Mateusz spostrzegł się wkrótce, że zbyt daleko zajechał, wszak trzymał w rękach obuwie, które powinien dziś koniecznie sprzedać, tu wybiła już godzina dwunasta, a on jeszcze ani jednej pary nie spuścił... Za co zakupi towar do dalszej roboty, co mu powie jego Agata w domu, która tak mu nakazała, że pieniędzy gwałtownie potrzebuje? W tej chwili pan Mateusz trzasnął się po udach, że aż się echo rozeszło, i krzyknął prawie głośno:

— Ej Mateuszu, stary Mateuszu, reformujesz wszystkich, a nie umiesz zreformować swego pasukudnego języka, który jak rozpuścisz, to o Bożym świecie zapominasz, ty tu rajcujesz, a tam rozmaite lcki i Szaje pozabierają tobie klientów.

I odsuwając się od paczki, która go otaczała, zaczął wołać na całe gardło:

— Panowie, paniusie, prześliczne buty własnego wyrobu, kto je zakupi, nosić będzie aż do grobu!... Własny wyrób to rozkosze popróbować tylko proszę!

I tak dalej i dalej coraz nowe rymy częstochowskie dobierając, zachwalał swój towar. A zachwalał tak skutecznie, że w jaką godzinę później ostatnią parę sprzedawał młodej, przystojnej kucharce, wdychając przytem z ulgą.

— No, przynajmniej teraz nie złaje mnie już moja stara — myślał sobie.

W chwili, gdy miał już wychodzić z hali, zatrzymała go Józka, która przez ten czas zdołała rozprzedać kosz swoich jabłek i zapytała pod żartem:

— No, jakżeż tam będzie, panie Mateuszu, prędko zostaniecie panem ministrem? Prędko wszelkie reformy przeprowadzicie?

— Wolne kpiny ze starego — odrzekł na to, kiwając głową pan Mateusz — a ja wam jednak uroczęście mówię, że na nic wszystkie rządowe reformy, póki my sami siebie nie zreformujemy, póki każdy z nas nie wyrzuci z serca tego, co w nim jest nieprawego, tej pychy, tej chciwości, tej samowoli, tego lenistwa, tej chęci używania, tego wiecznego krytykowania wszystkiego i wszystkich! Niech tam inni sobie robią, jakim się podoba, a ja wiem, że już

stoje nad grobem i zaczynam reformę od siebie, bo biada mi, jeśli tego nie zrobię!

A tłum kumoszek jak echo odpowiedział mu na to:

— Tak, tak!

— Słusznie, ma rację pan Mateusz — dodała pani Wojciechowa — nie mamy czasu do stracenia, niech każdy ino zacznie reformę od siebie, a nie będzie tyle biedy i narzekania!

I każda w dalszym ciągu zaczęła ochoczo wychwalać swój towar.

Życie rwało naprzód!

o dwóch braniach.

Gadka mazurska.

Żyło dwóch braci: Maciek i Wojtek. Wojtkowi była straszna bieda, nie miał co jeść, a musiał żywić dzieci kilkoro. Jego żona miała jedno stare kurzysko. Wziął Wojtek oną kurę, zabił ją i zaniósł do pana.

Pan się ucieszył i pyta, ile chce za kurę.

Wojtek odpowiada tylko, że jest głodny.

— No, kiedyś głodny, przyjdź do mnie na obiad.

Wojtek przyszedł na obiad. Patrzy — na stole stoją różne pieczenie i jego kura też leży na talerzu. Kazali mu jeść, ile tylko zechce. Jak zaczął jeść, niezadługo podjadł sobie. Kiedy się najadł, pan każe mu oną kurę dzielić pomiędzy państwa, ale tak, żeby i jemu się coś dostało.

Wojtek wziął nóż, urznął epek i położył przed panem; urznął koniec grzbietu i dał ga pani; przed paniczkiem położył skrzydełka, przed panienką nóżki i powiada:

— Ja, biedne chłopisko, zjem i kadłubisko.

Panu się to podobało i dał Wojtkowi dużo pieniędzy i zboża na chleb dla dzieci.

Jak się o tem dowiedział Maciek, złapał cztery kury i zniósł je do dworu.

Pan wziął kury i pyta go się, co chce za nie.

Maciek mówi:

— Głodnym, panie.

— To przyjdź do mnie na obiad.

Przyszedł Maciek na obiad; patrzy — wszystkie jego cztery kury leżą upieczone rzędem na stole.

Pan zaraz powiada do niego:

— Teraz dziel, Maćku, te kury pomiędzy nas, ale tak, żebyśmy wszyscy mieli co jeść.

Maciek położył jedną kurę przed panem, drugą przed panią, trzecią przed paniczkiem, czwartą przed panienką, a sobie nic nie wziął.

Panu się to nie podobało, buch Maćka w kark i zaraz posyła po Wojtkę, aby przyszedł dzielić kury.

Wojtek przyszedł; pan kazał usiąść do stołu, a Maćkowi kazał stać i patrzeć, jak jego brat będzie dzielił.

Wojtek podumał i tak zaczął:

— Pan, pani i kura — to troje; paniczek, panienka i kura — to troje; a ja, biedne chłopisko,

i dwie kury — to też troje; teraz mamy wszyscy równo.

Pan się roześmiał i powiada:

— Widzisz, Maciek, twój brat to nas dobrze obdzielił, bo i nam dał i sobie zostawił. Za to dam Wojtkowi jeszcze więcej zboża i pieniędzy, a ciebie — za to żeś był zazdrosny, bo masz co jeść, każę wygnać z chałupy.

Jak pan powiedział, tak i zrobił. Wojtkowi dał dużo zboża i pieniędzy, a Maćka ze wsi wypędził.

Mylna rachuba.

Znaną to jest rzeczą, że król pruski, Fryderyk II, należał do niedowiarków i bluźniercy Woltera, jako przyjaciela swego, utrzymywał na swym dworze, tem charakterystyczniejszym jest, że wielką przypisywał wagę temu, aby żołnierze jego byli religijnymi, bo wewnętrzne uczucie powiadało mu, że bez religii nie ma podstawy dla moralności i cnoty. O tem świadczy następujące zdarzenie.

Pewien podoficer, nazwiskiem Thomas, odznaczał się prawością, sprężystością w służbie i dobrem prowadzeniem swoich ludzi. Król był z niego zadowolony i pytał go raz pewnego o stosunki jego rodzinne, zatrudnienie w czasie wolnym i zabawy, a gdy się dowiedział, że Thomas pilnie uczęszcza do kościoła, rzekł z uśmiechem:

— A więc jesteś marzycielem! No, wszystko to zarówno, wypełniaj tylko obowiązki swoje i miej staranie o ludziach!

Od tego czasu, ilekroć król spotkał Thomasa, zapytywał czasem żartem:

— Jakże? A chodzisz pilnie do kościoła?

Pewnego razu rozmawiał król z pułkownikiem Thomasa i nadmienił między innemi, że zamyśla tego znakomitego oficera zamianować oficerem, skoro tylko miejsce jakie się otworzy. Dla zachęty powiedział to pułkownik Thomasowi, a ten od tego czasu stał się dumny i zarozumiały, przestał chodzić regularnie do kościoła, mianowicie, że sądził, iż przez to więcej jeszcze zyska względów liberala króla. Niedługo potem spotkał król znowu Thomasa i zapytał jak zwykle:

— Jakże tam z kościołem?

— Najjaśniejszy Panie, nie wiem! — była odpowiedź.

— Nie wiesz? Czego nie wiesz?

— Nie wiem jak z kościołem, bo już dawno w kościele nie byłem; nie chodzę teraz tak często, jak dawniej.

— A więc nie jesteś takim marzycielem jak sądziłem! — rzekł król, odwrócił się i poszedł.

Wkrótce potem zawałowała posada oficera. Pułkownik zapytał króla, czy zechce teraz zamianować Thomasa.

— Nie, nie! — zawołał król. — On nie będzie oficerem, on już nie chodzi tak pilnie, jak dawniej, do kościoła!

Zdziwiony pułkownik wezwał podoficera, który każdej chwili oczekiwał niezwykłego swego awansu, i rzekł:

— Nie rozumiem tego, co się dziś królowi stało. Nie chciał was posunąć na stopień oficera i powiedział, że nie chodźcie tak pilnie, jak dawniej, do kościoła. Nie wiem, co przez to chciał powiedzieć — dla was to pewnie będzie jasne.

Można sobie wyobrazić, jak wyglądał Thomas, gdy to usłyszał. Pozostał do końca podoficerem.

Dzwonek pogrzebowy.

W dosyć dużem mieście zebrało się kilku młodych ludzi, z których jeden był gorszy od drugiego. Od czasu do czasu siedzieli razem do późnej nocy przy jedzeniu, piciu, śpiewie, grze, tańczeniu i żartach plugawych. Pewnego razu znowu urządzili sobie taką schadzkę, na którą zeszli się wszyscy w oznaczonym czasie, oprócz jednego. Czekano i czekano długo, z niecierpliwością, jednak oczekiwany nie przyszedł. Pozostali zaczęli swoją niecną zabawę, która przeciągnęła się nieprzerwanie aż do północy. Nagle usłyszeli głos dzwonka. Przybiegli do okna i ujrzeli kapłana w stroju kościelnym, niosącego umierającemu ostatni zasiłek na drogę wieczności. Ze strachem odwrócili się od okna, jak gdyby zobaczyli jakie straszidło, ponieważ poważny widok nie przystoi do ich nocnej rozpusty. Usiedli znowu do wina, gry i śpiewu, ale zabawa nie szła już dawnym trybem; zdawało się im, jak gdyby jakaś niewidoma istota szeptała im do ucha: „Memento mori! — pamiętaj na śmierć — pamiętaj na własną godzinę śmierci!“

Szczególniej jeden z nich stawał się coraz poważniejszym i więcej zamyślonym; jakieś ponure przeczucie mówiło mu: „Ten kapłan idzie do naszego przyjaciela, który pasuje się ze śmiercią.“

A to przeczucie nie dało mu spokoju; popychało go ciągle do umierającego przyjaciela. Tem przeczuciem podzielił się ze swoimi przyjaciółmi pijawki, lecz oni wyśmali go jako ospalca i trzymali go silnie. Wyrwał się im jednak i pobiegł do domu swego przyjaciela. Brama była otwarta, wbiegł po schodach na górę, otworzył drzwi i ujrzął śmiertelnie bladego przyjaciela leżącego z krzyżem w rękach na śmierecznym łożu. Przed nim klęczała we łzach zatopiona matka i siostra, a przy stole, przed Najśw. Sakramentem klęczał kapłan ofiarując swe modlitwy za umierającego. On także upadł wzruszony na ziemię i modlił się z podniesionymi rękami razem z kapłanem, matką i siostrą za ostatnie tchnienia wydającego. Gdy się skończył święty obrządek, stanął i uchwycił zimną rękę umierającego. Ten popatrzył na niego gasnącym wzrokiem i rzekł: „Popraw się, ponieważ — umierać — umierać — jest strasznie!“

A ten widok tak mu wzruszył duszę — że chylił się nad umierającym i mówił mu do ucha: „Przyjacielu, zrozumiałem cię! Tak, chcę się poprawić i modlić za twoją duszę!“ I rzeczywiście się poprawił.